



Mirosław Derecki

ZNANI I NIEZNANI: NIE POWTARZAĆ SIĘ...

Krzyszczak znów stoi przed wielką niewiadomą, przed kolejnym życiowym „być albo nie być”. Cel, do którego uparcie dążył, do którego zmierzał tak bardzo okrężnymi i różnorodnymi drogami, został nareszcie osiągnięty: jest aktorem zawodowym. Ale właśnie, dlatego, że w sposób pewny stanął na deskach scenicznych dopiero w trzydziestym pierwszym roku życia, tym bardziej wyraziście rysuje mu się pytanie: co dalej, i - jak dalej? Na pewno wie, że - jak powiada - „zawodowiec, w odróżnieniu od amatora, to człowiek, który nie musi zawsze wygrywać, ale nie może sobie pozwolić, żeby to, co robi, robił źle.”

Takie słowa dyktuje Krzyszczakowi życiowe doświadczenie. Ale przecież przez te wszystkie lata, podczas których tkwił po uszy w ruchu amatorskim, kiedy z ubogiego, peryferyjnego klubu przy lubelskiej Cukrowni wyruszał na wielkie, ogólnopolskie imprezy i festiwale - nigdy nie rzucał na swoją szalę atutu amatorstwa. Po spektaklu „Obrony Sokratesa” według dzieła greckiego pisarza Kostasa Varnalisa, który przywiózł na II Ogólnopolskie Spotkania Amatorskich Teatrów Jednego Aktora odbywające się w Zgorzelcu, krytycy pisali: *Spektakl zaskakująco dojrzały i mądry. Jan Wojciech Krzyszczak przede wszystkim potrafił wyciągnąć wnioski z samej istoty „przedmiotu”, który zamierzał przekazać odbiorcy i znaleźć dla niej adekwatną formę teatralną. Nie udawał Sokratesa, pozostał współczesnym człowiekiem, spowinowaconym z „młodymi zbuntowanymi”, ale z tymi, którzy są uzbrojeni nie tylko w emocje, lecz i w żelazną logikę. Stworzył postać poniekąd uniwersalną i walczącą o uniwersalia, ale sprawdzalną pod różnymi szerokościami geograficznymi i w różnych czasach.*

„Obroną Sokratesa” wybronił się zarazem Krzyszczak na forum zawodowego środowiska teatralnego od pozostania na pozycjach tylko „miłośnika Melpomeny”. W protokole zamykającym spotkania jury postanowiło zaproponować organizatorom VII Ogólnopolskiego Festiwalu Teatrów Jednego Aktora we Wrocławiu (a jest to festiwal, w którym biorą udział tylko zawodowcy i to po przejściu rygorystycznie traktowanych eliminacji) - dopuszczenie „Obrony Sokratesa” do udziału w Festiwalu, motywując to następująco: *wymieniony spektakl nie tylko zdecydowanie przerasta najlepsze znane nam*

dokonania w teatrze amatorskim, lecz także jest najbardziej dojrzałą, twórczą propozycję teatralną spośród znanych nam i prezentowanych m. in. na wrocławskim festiwalu spektakli opartych na tym samym tekście.

We Wrocławiu Krzyszczaka zawiodły nerwy i gardło, więc powrócił do Lublina „tylko” z nagrodą dziennikarzy. Ale i tak pozostawił za sobą kilkunastu innych uczestników.

Krzyszczak pracuje samotnie. Bez pomocy reżyserów i scenografów, bez opłacanych przez instytucje kulturalne doradców i nauczycieli „kultury słowa”, „ruchu scenicznego”, „interpretacji tekstu”. Sam sobie wybiera materiał literacki, sam go przykrawa i adaptuje na potrzeby spektaklu, sam obmyśla scenografię i dobiera tło muzyczne. Takie zresztą postępowanie mieści się w jego pojęciu Teatru Jednego Aktora. Albo - jak powiada - Teatru Jednego Człowieka. Staje przed publicznością, aby się jej zwierzyć ze swoich własnych niepokojów i przemyśleń, ze swoich własnych fascynacji. Żeby przemówić do widza słowami autora, ale poprzez pryzmat własnej osobowości. W odwiecznym konflikcie jednostki ze zbiorowością nie dopuszcza udziału żadnych pomocnych rąk. W każdym innym wypadku Teatr Jednego Aktora jest fikcją. To normalny teatr, tylko, że w przedstawieniu bierze udział zaledwie jeden aktor.

W tym swoim własnowolnym osamotnieniu Krzyszczak stara się nawet unikać ludzi, którzy zawodowo parają się krytyką teatralną. Broni się przed ocenami wykoncypowanymi w zaciszu gabinetów, szuka sprawdzianu tego, co robi, w rozmowach i dyskusjach organizowanych wśród publiczności, ad hoc, po zakończeniu każdego spektaklu.

„Purytanizm” Krzyszczaka ma być może, swoje uzasadnienie w życiorysie tego zwalistego, wąsatego, posturą szlagona przypominającego aktora-amatora-zawodowca. Może na dnie jego postępowania tli się wciąż wspomnienie o wiejskim chłopaku, który przed kilkunastu laty zrywał z całym swoim otoczeniem ogarnięty poczuciem inności, wyruszającym w świat w nadziei spełnienia jeszcze nie sprecyzowanych celów, ale już ze świadomością, że droga na jaką wstąpił będzie nieustanną walką z przeciwnościami. Bez świadomości, że balast wsi będzie jedną z dominant w jego późniejszych poczynaniach.

Krzyszczak urodził się we wsi Jakubowice, będącej czymś w rodzaju dalekiego przedmieścia Lublina i chociaż wcale nie czuł od dziecka – jak to się pisze w życiorysach od szkoły teatralnej – że jego powołaniem jest teatr, to miał głębokie przeświadczenie, że jego życie będzie związane z miastem. W mieście istniało Technikum Plastyczne, a on z łatwością rzucał na papier sylwetki wiejskich charakterystycznych postaci. Rodzice nie mieli nic przeciwko miejskiej edukacji, ale będąc ludźmi praktycznymi widzieli swojego syna jako technika budowlanego, człowieka, który i do domu przyniesie kawałek chleba z masłem i może się na coś przydać społeczeństwu. Chłopak o tyle podporządkował się woli „ojców”, że

progi „budowlanki” przekroczył, ale w połowie egzaminu wstępnego zrezygnował ze szkolnej ławki. Ugiął się raz jeszcze pod wolą rodziny, spędzając cały rok w zasadniczej elektrycznej szkole zawodowej, która miała mu dać dyplom elektromontera trolejbusowego. Niestety, dał wyraz całkowitemu braku zainteresowania tym skądinąd pożytecznym zajęciem, przynosząc pod koniec roku na świadectwie osiem ocen niedostatecznych. Mógł teraz albo wracać w niesławie do domu i sposobić się do zawodu rolnika, albo... zerwać z rodziną i pójść własną drogą.

Cóż, kiedy własnej drogi Krzyszczał w tym okresie ni widział. Wiedział tylko, że na wieś nie wróci. Przez przypadek poszedł do terminu u masarza przy ulicy Lubartowskiej, spał z innymi uczniami na drewnianym wyrku na zapleczu warsztatu czekając, że coś się z tego wszystkiego przecież kiedyś wykluje... Otóż wtedy właśnie trafił po raz pierwszy do teatru. Majster któremu coś tam stanęło na przeszkodzie, dał mu własny bilet na przedstawienie „Króla i autora” w Teatrze im. Osterwy. Krzyszczał dzisiaj powiada, że nie tyle spłynęło wówczas na niego objawienie, ile uświadomił sobie rzecz niewiele mającą z Teatrem wspólnego, a mianowicie, że bez wykształcenia do niego nie dojdzie. To go zdopingowało do ukończenia zasadniczej szkoły masarskiej, a później, kiedy już pracował w Zakładach Mięsnych w Lublinie do rozpoczęcia nauki w Technikum Chemicznym. I tam właśnie połąkł bakcyła teatru. Recytował, brał udział w szkolnych przedstawieniach amatorskich. To rozbudzone nie wiadomo dokładnie kiedy i na jakich logicznych przesłankach oparte zainteresowanie teatrem, doprowadziło po maturze do prób dostania się do szkoły teatralnej.

Ponieważ Krzyszczał jest przekorny, po odpadnięciu z egzaminów zainteresował się na dobre recytacją. Może tam zresztą mniej było przekory, a więcej chęci udowodnienia sobie i innym, że drzemie w nim talent aktorski, ale Krzyszczał obstaje przy przekorze... W tym czasie zaczęła go również interesować muzyka. Tak jak „sam z siebie” umiał rysować, tak również nie wiadomo, kiedy, po paru lekcjach wziętych u wiejskiego kolegi, nauczył się grać na skrzypcach. Swoje umiejętności muzyczne zaczął rozwijać po wstąpieniu do Studium Nauczycielskiego w Lublinie na sekcję wychowania muzycznego i śpiewu.

Ten okres życia wspomina Krzyszczał, jako okres radosny. Przez dwa lata studiów buszował z dwoma kolegami, z którymi założył zespół muzyczny, po wszystkich wsiach sąsiadujących z Jakubowicami, obsługując wesela, chrzciny i ludowe zabawy. To ponowne, świadome „zstąpienie” na wieś miało się później odbić w jego działalności teatralnej.

Ale na razie, w 1964 roku, był dyplom i rozpoczęcie pracy w Zasadniczej Szkole Budowlanej przy ul. Sulisławickiej w Lublinie, na stanowisku kierownika zajęć pozalekcyjnych.

Po czterech latach pracy w szkole, Krzyszczaka przestało interesować nauczycielstwo. Strząsnął z siebie ten zawód równie łatwo jak zawody, które dotychczas wykonywał, albo do wykonywania, których się sposobił. Tylko, że teraz już w sposób bardziej świadomy stawiał następny krok na drodze do teatru: podjął prace kierownika klubu przy lubelskiej Cukrowni, miał tam większy kontakt z ruchem amatorskim i więcej czasu na kształtowanie własnego warsztatu.

W 1969 r. wychodzi z pierwszą swoją próbą teatralną, wynikłą z zafascynowania Gałczyńskim: „Podróżą Chryzostoma Budwiecia do Ciemnogrodu”. Pierwsza nagroda na Wojewódzkim Przeglądzie Teatrów Poezji, a następnie zaproszenie na centralny koncert poetycki zorganizowany w Gdańsku z okazji obchodów 25-lecia PRL. Taki jest początek Teatru Jednego Aktora, któremu Krzyszczak dał nazwę - „Bulwiec – 69”.

Krzyszczak jest przekorny. Kiedy zespoły recytatorskie i teatry poezji brały na warsztat wiele poważne teksty, on wystąpił z „Rozkoszami kultury” według Zoszczenki. Po przedstawieniu w Nowej Hucie, gdzie przybył już jako laureat I nagrody na Wojewódzkim Przeglądzie Teatrów Poezji w Lublinie, Gabriela Rejchert stwierdziła na łamach „Sceny”: *Nowohucki pokaz miał także swój prawdziwy koncert aktorski. „Rozkosze kultury” program według tekstów Zoszczenki dzięki Janowi Krzyszczakowi okazał się być iście rozkoszną zabawą dla całej, uginającej się z wolna pod ciężarem brzemiennych w konflikty programów, wiernej pokazowi publiczności. Inwencja, urok sceniczny, żonglowanie nastrojem, sugestywność w kreśleniu obrazu - pozwalają na wysoką ocenę kolejnej próby, tak modnego obecnie, teatru jednego aktora.* Skąd czerpał Krzyszczak wiedzę o tuzinkowym obywatelu młodego Kraju Rad, stykającym się nagle z ogromnym ładunkiem przemian, jakie przyniosła z sobą rewolucja w każdej dziedzinie jego życia? Czy nie z obserwacji podobnego mu chłopaka z podlubelskich Jakubowic?

Jednak na grunt problemów nurtujących dzisiejszą wiejską społeczność coraz bardziej przesuwaną się ku stykowi: wieś-miasto, wkroczył dopiero w roku następnym, prezentując monodram „Stary” według opowiadania Juliana Kawalca „W słońcu”. Wśród czterdziestu konkurentów, podczas I Ogólnopolskich Spotkań Amatorskich Teatrów Jednego Aktora, Krzyszczak wysunął się na pierwsze miejsce. *Chodziło pozornie o sprawy zwyczajne w dwudziestowiecznym dynamicznie cywilizującym się świecie. Przemyśl pochłania wieś, młodzi idą do miasta bez kompleksów i tęsknoty za ziemią, starym jest trudniej, na dodatek oba pokolenia nie bardzo się rozumieją.* To nie tylko Kawalec, to również Krzyszczak, jego rodzice, jego znajomi ze wsi Jakubowice, włączającej się coraz dosadniej w krwiobieg miasta Lublina.

W 1971 r. z inscenizacją „Starego” zbiegło się ukończenie przez Krzyszczaka czteroletniego studium teatralnego przy warszawskiej CPARA. Z inscenizacją „Obrony Sokratesa” w roku 1972 - zdanie przed państwową komisją w Warszawie egzaminu na uprawnienia aktora estrady. W roku bieżącym, gdy Krzyszczak zaadaptował dla swojego Teatru „Konopielkę” Edwarda Redlińskiego (znowu ten nawrót do problematyki wiejskiej!) - przejście na etat aktorski w lubelskiej „Estradzie”.

Co będzie dalej? Czy zmierzchn Teatru Jednego Aktora i oddanie się w pełni „zawodowi”? Zawodowi pełnemu raf i mielizn, na których już tylu zdolnych utknęło, który niesie - w odróżnieniu, od amatorstwa - tyle rozgoryczenia i tyle rozczarowań? I co na to Krzyszczak? Krzyszczak odpowiada, że jedno jest pewne, jak mówi w „Konopielce” Redliński - „szkoda życia na powtarzanie jednego”.

Już w trakcie przygotowywania numeru do z przyjemnością druku dowiedzieliśmy się, że na wrocławskim Festiwalu Teatrów Jednego Aktora Jan Wojciech Krzyszczak otrzymał jedną z dwóch II równorzędnych nagród (pierwszej nie przyznano) za spektakl „Kirelejson” według „Konopielki” Edwarda Redlińskiego. Serdecznie gratulujemy.

Pierwodruk: „Kamena”, nr24, s. 8-9.